Nr. 29. Sobota, dnia 15-go lipca 1916

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę piątą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z pierwszego listu św. Piotra rozdział III, wiersz 8—15.

Najmilsi! Bądźcie wszyscy jednomyślni, spółcierpiący, braterstwa miłośnicy, miłosierni, skromni, pokorni, nie oddawając złego za złe, ani złorzeczeństwa za złorzeczeństwo, lecz przeciwnym obyczajem błogosławiąc, gdyż na to jesteście wezwani, abyście błogosławieństwo dziedzictwem posiedli. Albowiem kto chce żywot miłować i oglądać dni dobre, niech pohamuje język swój od złego i usta jego niech nie mówią zdrady. Niech się oddala od złego, a niech czyni dobrze. Niech szuka pokoju, a niechaj go ściga, albowiem oczy Pańskie nad sprawiedliwymi, a uszy Jego ku prośbie ich; lecz twarz Pańska na działających złości. I któż jest, coby wam zaszkodził, jeśli dobrego naśladowcami będziecie? Ale i choć co cierpicie dla sprawiedliwości, błogosławieni. A strachu ich nie strachajcie się, ani sobą trwóżcie, lecz Pana Chrystusa święćcie w sercach waszych.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdział V, wiersz 20—24.

Onego czasu rzekł Jezus do Swych uczniów: Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż doktorów zakonnych i Faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego. Słyszeliście, iż rzeczono jest starym: nie będziesz zabijał, a ktoby zabił, będzie winien sądu. A Ja wam powiadam, iż każdy, który się gniewa na brata swego, będzie winien sądu. A ktoby rzekł bratu swemu „Raka", będzie winien rady. A ktoby rzekł: głupcze, będzie winien ognia piekielnego. Jeśli tedy ofiarujesz dar twój do ołtarza, a tam wspomnisz, iż brat twój ma nieco przeciw tobie, zostaw tam dar twój przed ołtarzem, a idź pierwej zjednać się z bratem twoim; a tedy przyszedłszy, ofiarujesz dar twój.

NAUKA.

„Jeśli nie będzie obfitowała sprawiedliwość wasza więcej niż doktorów zakonnych i faryzeuszów, nie wnijdziecie do Królestwa niebieskiego." A przecież ci doktorowie i faryzeusze, jak to wiemy z Pisma św., wiele odmawiali pacierzy, wielkie dawali jałmużny, twardo pościli, wiary swojej się nie wstydzili, ale mocno przy niej stali, i w niejednem jeszcze mogli innym służyć za przykład. Mimo to mówił Pan Jezus bardzo stanowczo, że to wszystko bynajmniej nie wystarcza, żeby zdobyć sobie niebo. Nie gani im Pan Jezus tego, co dobrego czynili, ale cóż im gani? Przedewszystkiem to, że cokolwiek dobrego lub dobrze czynili, czynili to nie dla Pana Boga, ani dla swego zbawienia, ale dla próżnej chwały ludzkiej, żeby przed ludźmi uchodzić za dobrych. Poczucia obowiązku i prawdziwej sumienności było u nich bardzo mało, ale we wszystkiem owodowali się względem ludzkim, onem ciągłem ogłądaniem się na to, co ludzie o nich powiedzą i pomyślą. Na zewnątrz było u nich wszystko w najlepszym porządku; wewnątrz zaś, dokąd oko ludzkie nie sięga, było pełno namiętności i żądz najgorszych, i dlatego przyrównuje ich Pan Jezus do grobów obielanych. Tak np. wobec ludzi są dla Pana Jezusa dobrze usposobieni, zapraszają Go do stołu, pochlebiają Mu, że naucza prawdy itp., a w rzeczy samej myślą jedynie o tem, jakby podchwycić Go w słowie i zaszkodzić Mu. Na zewnątrz udają miłośników narodu i ojczyzny, ale gdy im tego potrzeba, świadczą wobec Piłata: „Nie mamy króla", publicznie sowite dają jałmużny, a potajemnie zdzierają, kogo mogą. Krótko mówiąc, faryzeusze dbali jedynie o zewnętrzne zachowanie przykazań i o formy zewnętrzne, ale ducha Bożego w sobie nie mieli; ale nie rozumieli tego, że Pan Bóg przedewszystkiem żąda: „Daj mi, synu mój, serce twoje." Więc modlą się usty, ale serce ich jest dalekie od Pana; okazują ludziom uprzejmość i ugrzecznienie, ale miłości dla nich, ani życzliwości nie mają; dają jałmużny, ale litości nie mają; ćwiczą się w różnych uczynkach sprawiedliwych i mowy ich są poprawne, ale o sprawiedliwość nie dbają. Ty czyś lepszy od faryzeuszów? Co u ciebie przeważa: wzgląd ludzki i poczucie przyzwoitości, czy też wzgląd na Boga i sumienie i poczucie obowiązku? Modlitwy twe są szczere, czy też są tylko klepane bez myśli i serca? A uprzejmość i serdeczności twoje, czy są wyrazem miłości i życzliwości, czy też czczą tylko formą? Jałmużny czy dajesz z litości, a zarazem z litością, czy też dla oka ludzkiego, żeby nie uchodzić za skąpca, lub żeby pozbyć się natręta? Twoje poczucie prawości i sprawiedliwości czy nie ogranicza się na tem, że unikasz starannie spotkania się z kryminałem i z pogardą u ludzi, czy też jest opartą na bojaźni Boga i na wstręcie do grzechu?

Dlatego, że faryzeusze szczerze dbali jedynie o pozory, a w wygórowanem samolubstwie swojem dla nikogo i w niczem nie mieli serca, wykraczali i oni szczególnie przeciw przykazaniu miłości bliźniego, które przeciwnie Pan Jezus najwięcej poleca, i mówi o niem, że jeśli po czem, to „po tem poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jeden ku drugiemu". To też w dzisiejszej Ewangelii, objaśniając jaką ma być chrześciańska sprawiedliwość, poczyna Pan Jezus o jednym z głównych obowiązków miłości, jaki wkłada na nas piąte przykazanie Boże: „Nie zabijaj". Faryzeusze jak je rozumieli, to pokazali, kiedy Piłatowi powiadają: „nam się nie godzi nikogo zabijać", a równocześnie żądali od niego, żedy on Pana Jezusa kazał ukrzyżować; czego sami uczynić nie śmieli, tego w sercu pożądać i przez kogobądź wykonać się nie wstydzili. „Z ser-

ca" mówi Pan Jezus, „wychodzą złe myśli: mężobójstwa, porubstwa, kradziestwa, fałszywe świadectwa, bluźnierstwa," słowem wszelkie grzechy przeciw któremukolwiek przykazaniu Bożemu. To też jeżeli chcemy piąte przykazanie lepiej zachować niż faryzeusze, zabrania nam Pan Jezus gniewu, który jest w sercu: „każdy, który się gniewa na brata, winien będzie sądu". Gniew bywa grzechem śmiertelnym, albo powszednim albo i żadnym. Śmiertelnym jest grzechem, jeśli wpadamy w gniew z powodu przykrości lub krzywdy nam wyrządzonej i dla pomszczenia się wyrządzamy bliźniemu, albo przynajmniej życzymy mu co bardzo złego; również jeśli gniew nas naraża na bluźnierstwa, ciężkie obelgi, dawanie zgorszenia lub jakiekolwiek inne grzechy śmiertelne. Powszednim grzechem gniew, jeśli wpadamy weń także dla przykrości lub krzywdy doznanej, ale bliźniemu wyrządzamy lub życzymy coś nie bardzo złego, ani nie jesteśmy skutkiem gniewu pochopni do żadnych ciężkich grzechów. Wcale niema grzechu gniewać się rozumnie, z gorliwości o chwałę Bożą i sprawiedliwość, z powodu obrazy Bogu wyrządzonej. Tak np. bez grzechu gniewał się Pan Jezus na kupczących w świątyni, i czyniących z niej jakby jaskinię łotrów. Gorszym od gniewu, który wre tylko w sercu, jest gniew, co wybucha na zewnątrz przezwiskami i zelżywościami, bo w tych wypadkach gniewający się o tyle mniej panuje nad namiętnością swoją, a zarazem do gniewu i zemsty pobudzając przeciwną stronę, rzeczywistą już jej krzywdę wyrządza.

Są tacy, co mają nałóg gniewu i tłómaczą się jedni, że takimi są od urodzenia, inni zaś składają winę na nerwy. Być może, że ktoś jest dla jakiejkolwiek przyczyny więcej drażliwy, ale to go bynajmniej nie uwalnia od winy, ani obowiązku tem usilniejszej pracy nad sobą. Gniew o ile jest grzechem, o tyle też jest złem wobec Boga i ludzi, a to tem więcej, że wiele złego wyrządza nie tylko gniewającemu się, ale i wszystkim tym, którzy z nim w jakiekolwiek wchodzą stosunki. Tak między innemi mówi Pismo święte: „Mieszkać ze lwem i ze smokiem będzie się podobało raczej, niż mieszkać ze złą niewiastą". Kto zaś ma nałóg gniewu, na tym poczęło się sprawdzać ono słowo: „wszelki, który czyni gniew, jest sługą (niewolnikiem) grzechu". Chcesz pozbyć się wady, staraj się wziąwszy Boga i Najświętszą Pannę na pomoc: 1) nie składać winy na ludzi i okoliczności, z powodu których rozgniewałeś się, ale siebie i tylko siebie obwiniaj; bo rzeczywiście, gdybyś ty był mniej porywczym i obraźliwym, wyrozumialszym dla drugich, a nad to wszystko, gdybyś był rozumniejszym, tobyś z łatwością był ominął tę awanturę, a może nawet wszelką do niej okazyę. 2) Gdy czujesz się być wzburzonym, nie spiesz się ze słowem, ani nawet z postanowieniem żadnem, bo z doświadczenia wiesz, że tem nic dobrego nie zrobisz, a tylko drugim i sobie zaszkodzisz. 3) Poskramiaj wszystko to, co jest w tobie źródłem wszystkich gniewów twoich: pretensye twoje; im więcej masz pretensyi, tem częściej jesteś narażony na zawody i przykrości, a tem samem też na gniew. Więc nie miej pretensyi, żeby się z tobą tak a tak obchodzono, ciebie uwzględniano, o tobie pamiętano, itd. 4) Przestrzegaj tego, co dzisiejsza poleca Ewangelia i jeśli kogo obraziłeś tak, iż „brat twój ma nieco przeciw tobie", niech pilniej ci będzie „zjednać się z bratem twoim", niż nawet Panu Bogu się pomodlić lub złożyć jaką ofiarę. Takie upokorzenie się, jakiego wymaga szczere i uczciwe pojednanie, więcej, niż wszystkie inne sposoby, dopomaga do poskromienia w sobie namiętności gniewu.

Zwyczaj to z dawien dawna chrześciański, który po dziś dzień przypomina się dzieciom przystępującym po raz pierwszy do Sakramentów świętych, żeby przed spowiedzią pojednać się i z domownikami i z innymi, do których, albo my mamy jaką urazę, albo oni do nas. Jest to obowiązkiem ze względu na dzisiejszą Ewangelię nie mniej, niż dla słowa, które tylekroć powtarzamy w pacierzu: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom". Pragniemy przez spowiedź pojednać się z Bogiem doskonale, Pan Bóg chętnie nas przyjmie, ale jedynie pod tym warunkiem, że wprzód pojednamy się z ludźmi.

X. J.

PIOTRUŚ.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy.)

Żniwa pod najlepszą rozpoczęły się wróżbą. Na niebie ani jednej chmurki, a spłoszone skowronki, unosząc się w górę, łączyły swe głosy ze śpiewem pracujących wieśniaków, co w wybornem usposobieniu żwawo wdzierali się w złote łany pszenicy.

Niekiedy padające kłosy odkrywały gniazdko ptaszął, zbyt drobnych jeszcze, aby mogły ratować się ucieczką, inne znów, cokolwiek starsze, na widok niespodziewanej napaści, uciekały piszcząc żałośliwie w gąszcz nietkniętych jeszcze kłosów, nie wiedząc, że wkrótce znowu spotkają się tam z błyszczącem ostrzem kosy.

Jedno z takich gniazdek znalazło się na zagonie Piotrusia; zabrał je ostróżnie i zaniósł Milce.

Biedne ptaszyny wychylały gołe swe główki z gniazda; rozwarte ich dzióbki zdradzały głód dawno niezaspokojony.

Milka zerwała z pobliskiego drzewa figę i nakarmiła je starannie.

Potem oddała gniazdko Piotrusiowi, mówiąc:

— Weź, odnieś je matce.

Piotruś spełniając rozkaz, złożył gniazdko w bezpiecznem miejscu pomiędzy dwoma skoszonemi już zagonami, co gdy ujrzały dwa ptaszki, widocznie rodzice maleństwa, krążący ciągle w pobliżu, rzuciły się z radosnemi okrzykami do swojego straconego na chwilę skarbu.

Praca szła żwawo, bo wszyscy chętnie brali w niej udział, ale pierwszym w szeregu żniwiarzy był zawsze Piotruś. Dzielnie też wyglądał z kosą w ręku. Ojciec Lorin przyglądał mu się z uwielbieniem, jak prawdziwy artysta, podziwiający przypadkowo spotkany na ulicy typ klasycznej piękności.

— Wiecie co — mówił do starego Terrade — z waszego Piotrusia doskonały jest robotnik.

— Wiem o tem — odparł tamten — na dziesięć mil wokoło nie znajdzie drugiego takiego!

— To rzecz pewna.

— Wy sami o tem wiecie najlepiej, ojcze Pascal. A co to za porządny gospodarz będzie z niego, kiedy osiądzie na swojem! Żałuję, że nie mam córki.

— Wydalibyście ją za niego? — pytał Pascal z uśmiechem.

— Bez chwili namysłu... A wy, czy nie myślicie ożenić go z Milką?

— Tego nie powiedziałem — zakończył dyplomatycznie stary Pascal.

Ta rozmowa jednak spowodowała go, że wieczorem odprowadził na bok Piotrusia i tak do niego przemówił:

— Mój chłopcze, masz już lat ośmnaście, jesteś już człowiekiem i można z tobą, zdaje mi się, pomówić. Otóż przyznaj mi się z ręką na sercu i bez żadnej obawy: kochasz Milkę, czy nie?

— Kocham, ojcze Lorin — odpowiedział szczerze młodzieniec.

— Dobrze, lubię taką odpowiedź. Jeżeli więc ją kochasz, to chciałbyś się z nią ożenić. Ale wiesz także, że do małżeństwa nie można przystąpić bez namysłu, jak dzieci. Ty nie jesteś bogaty, a i ja nie mam gotówki na posag. Nie świetne byłoby to małżeństwo. Mógłbym cię przyjąć do La Queyrie, ale w twoim wieku człowiek lubi niezależność. Trzeba myśleć o wszystkiem. Musisz mieć dom własny dla siebie i dla twoich dzieci. Czego się dziwisz? Należy wszystko dobrze obliczyć. Otóż, dziś pieniędzy na budowę domu jeszcze nie mamy; a oprócz tego, nie wyszedłeś jeszcze z lat wojskowych, a chociaż jesteś wolny, jako jedyny syn wdowy, któż przewidzi, co może nastąpić.

— Boże... mówicie o śmierci mojej matki.

— Tego nie mówię. Ale któż wie, matka twoja kobieta wiekowa... a zresztą, mogłaby wyjść za mąż.

— Moja matka, za mąż... to rzecz niemożliwa!

— Trzeba wszystko przewidzieć, mój Piotrusiu. Pozostają ci jeszcze dwa lata, zanim wyjdziesz z wieku popisowego. Trzeba je przeczekać; nie bój się; Milka będzie twoją żoną, daję ci na to moje słowo, bo wiem, że i ona ciebie kocha. Przez te dwa lata uzbierasz trochę pieniędzy, na zagospodarowanie się; nie zapomnij tylko zażądać od starego Terrade, aby podwyższył ci płacę odpowiednio do wartości twojej roboty. No, cóż myślisz, chłopcze? Dwa lata szybko przeminą.

— Zaczekam, ojcze Lorin — odpowiedział Piotruś.

Część druga.

I.

Nie każdy dzień przynosi z sobą jaki ważny wypadek, w życiu rolnika zwłaszcza całe miesiące upływają bez widocznej różnicy, jak spokojny strumień, zewsze jednostajnie toczący ciche swe wody.

Bądź co bądź przecież, właśnie jednostajność ta stanowi prawdziwe szczęście i tylko zazdrości godni są ludzie, co pomimo to umieją zapełnić swe życie, nie znając nudów wśród ciągłego zajęcia. Nie jest to tak łatwem, jak się z pozoru wydawać może; bo i życie monotonne, jak każde inne, nastroszone bywa przeszkodami, które zwalczać trzeba i ciężką pracą, tem uciążliwszą, że z góry obliczoną i wymierzoną. Jutro takiem samem będzie, jakiem było wczoraj, a dzień wczorajszy niczem się nie różnił od poprzedzających. Wiecznie ta sama praca, walka z przyrodą i żywiołami, walka bez rozgłosu, choć nie bez nagrody, trud nieustanny, ale bez skargi choć w pocie czoła znoszony.

Piotruś kończył lat dwadzieścia. Liczył dnie i godziny, dzielące go od chwili, w której Milcia miała zostać jego żoną. Jak dawniej, tak i teraz bywał codziennie w La Queyrie, gdzie zjawienie się jego ogólną wywoływało radość. Lorinowie uważali go już jako należącego do rodziny i przyjmowali go z otwartemi rękami, bo razem z nim dobry humor i ożywienie wstępowały do domu.

Młodzi kochali się bardziej, niż kiedykolwiek, a każde spotkanie i każda rozmowa były dla nich świętem uroczystem.

Jakby to zajmującem było podsłuchać ich rozmów, w których swobodnie wywnętrzały się młodociane ich dusze! Ale zawsze rozmawiali szeptem: zakochani to skąpcy, którzy nie lubią dzielić się swojemi skarbami.

Rozumie się, iż najchętniej zapuszczali się w krainę marzeń, kołysząc się na skrzydłach nadziei owej złudnej bogini młodzieńczego wieku.

— Czy ty wiesz, Piotrusiu — szeptała Milcia — że lato już się kończy. W przyszłym roku będziesz już wolny i pobierzemy się na Wielkanoc. Wesele musi być sute i z tańcami, tak samo, jak kiedy Nillon żenił się z Małgosią. Pamiętasz? A jak myślisz, dużo też będziemy mieli gości?

— Mnie tam wszystko jedno, choćby nikogo nie było i choćbyśmy nie tańczyli! Co mnie obchodzi uczta weselna, byleś ty była moją!

— Alboż myślisz, że mnie tak wiele zależy na tańcu? Miły Boże, a toż całe życie mogłabym się obyć bez niego! Chciałabym tylko, żeby goście nasi zabawili się i długo pamiętali dzień tak uroczysty dla nas!

— Co do tego zgadzam się z tobą zupełnie, moja droga, ale mamy dość czasu jeszcze do myślenia o weselu; całe ośm długich miesięcy.

— I to prawda, ale wielkiej przyjemności doznaję na samą myśl o tem, bo zdaje mi się, że te ośm miesięcy już upłynęły, a wesele nasze odbędzie się jutro.

— Moja dobra Mileczko!

— Oj, to pewna, że będę dla ciebie dobrą i będę cię kochać, bo i ty jesteś poczciwy i zacny chłopiec. Największym panom nie będziemy mieli czego zazdrościć, a jakie to wzorowe będzie nasze gospodarstwo! Uważasz Piotrusiu, nasze gospodarstwo! Jak to brzmi mile!

— A wiesz, Milciu, że już mam cokolwiek uzbieranego grosza na to gospodarstwo i jakoś wcale spora uciułała się sumka.

— Tem lepiej. O pieniądze nie dbam ja wprawdzie bardzo; pojmuję jednak, że trzeba je szanować, chcąc sobie spokój domowy zapewnić. Będę dobrą gospodynią.

— Oh, o tem jestem przekonany!

— W La Queyrie wszystko będzie szło jak z płatka i wszyscy muszą być ze mnie zadowoleni.

— Znam cię zbyt dobrze, abym mógł wątpić o tem. Ale wiesz, Milciu, co mi na myśl przychodzi? Oto, żem dobrze zrobił, kochając cię od tak dawna, bo w całej okolicy naszej nie znalazłbym drugiej takiej doskonałej partyi.

— O! — zawołało śmiejąc się dziewczę. — Nie wiedziałam, że pan Piotr żeni się z wyrachowania!

Piotruś rozśmiał się również, pocałował ją w czoło, palcem pogroził i dodał tylko:

— Oj, ty złośliwy dzieciaku!

II.

Sierpień miał się ku końcowi. Na polach miejsce złotych łanów zboża zajęły bezbarwne rżyska, w których ukrywały się kuropatwy i świerszcze tryle swe wywodziły. Skoszone łąki świeciły tylko różnobarwnem kwieciem i roiły się konikami polnemi.

W stodołach młócono zboże pośpiesznie, bo wino już dojrzewało i obiecywało plon obfity.

Jednego z owych dni sierpniowych, stary Pascal siedząc na snopku słomy, oparty plecami o rozwarte wrota stodoły, przyglądał się z niezamąconym spokojem Mateuszowi i trzem innym parobkom, młócącym zboże.

Była może godzina szósta pod wieczór i upał nieznośny.

— Nie będzie wiatru na jutro — przemówił Pascal — nie da się też ziarno czyścić.

— Tak pan myślisz? — odęzwał się jeden z robotników.

— Jestem prawie pewny, że ta cisza w powietrzu długo jeszcze potrwa. Trzeba będzie wprzód wszystko wymłócić, a tymczasem może i wiatr pożądany zawieje.

— Kiedy tak — rzekł Mateusz — to Maryanna z córkami swojemi nie ma po co przychodzić?

— Zdaje się, że nie — odpowiedział Pascal. — Trzebaby ją dziś jeszcze uprzedzić, że wiać jutro nie będziemy.

— Powiem jej to wieczorem.

Nadejście Milki przerwało dalszą rozmowę. Wracała ona od królików, którym zaniosła pełen koszyk świeżych liści. Podeszła do wuja, wzięła go pod rękę, a zwracając się do robotników, rzekła:

— Chodźcie na kolacyę!

— Idziemy, panienko — odpowiedzieli.

Po kolacyi, którą z wielkim apetytem zjedzono w kuchni, stary Pascal wziął z sobą Mateusza i poszedł obejrzeć część pola, zasadzoną dyniami, a odległą od folwarku o dwadzieścia minut drogi.

Nie upłynął jeszcze kwadrans czasu po ich odejściu, kiedy Kruczek zaszczekał nagle w podwórzu.

— Któż tam mógł przyjść? — zapytała pani Katarzyna.

Milka podbiegła do okna i ujrzała mężczyznę w bluzie z czerwonym kołnierzem i skórzaną torbą, zawieszoną przez ramię.

— To Jan Nicard — odpowiedziała ciotce.

— Nicard? Ciekawam, co go tu mogło sprowadzić.

III.

Jan Nicard był to listonosz z Saint-Alvere.

Odtrącił raz i drugi rzucającego się nań Kruczka, potem nachylił się i śmiało go pogłaskał. Udobruchany pies mile przyjął ten dowód życzliwości i położywszy się u nóg listonosza, kręcił radośnie ogonem.

— Witam pana, panie Nicard! — rzekła Milka przez okno.

Nicard spiesznie się wyprostował i zdjął kapelusz.

— Dobry wieczór pannie Milci! Przynoszę państwu list.

— List, do nas? — zawołała. — Ah, Boże mój! Wybiegła czemprędzej na podwórze.

—List... do nas? — powtórzyła gorączkowo. — Daj go pan!

Schwyciła list i zaczęła go oglądać na wszystkie strony z nietajoną ciekawością.

— Któż to może do nas pisać? — zawołała rozciekawiona pani Katarzyna, która na wiadomość o liście nie miała cierpliwości zostać w pokoju.

— Patrz, mamo! — mówiła dziewczę. — Może to od „niego"! Przypatrz się tylko dobrze!

— Ach Boże! Któż to może wiedzieć! Wiesz przecież, że ja czytać nie umiem!

— Gdybym znała jego pismo, tobym zaraz się dowiedziała — szepnęła Milka.

— A czy to państwo nie możecie odpieczętować listu? — zauważył śmiejąc się Nicard.

— Jest adresowany do mojego ojca! — zaprotestowała Milka.

— Tak, tak, nie można otwierać — potwierdziła pani Katarzyna. — A może też to nie od „niego"! Dziękuję wam, panie Nicard.

— Ja zaś, moja mamo, pewną jestem, że to list od Placyda!

— Dziewczyno, nie dręcz mnie napróżno! Bo gdybyś się miała omylić, nie zniosłabym tego! Już i tak ledwo nogi czuję pod sobą. A tu mąż jak na złość nie wraca!

— Pobiegnę do ojca! Wiem, gdzie go szukać, przy dyniach!

— Oszalałaś, czy co? Taki kawał drogi!... — Mileczko, Mileczko!... Aha, tak, już jej nie widać! — wołała siężąc za biegnącą co tchu siostrzenicą.

A potem, wzruszona i zaniepokojona bardzo, padła na ławkę przed domem. (Ciąg dalszy nastąpi).

ŻARTY.

Staś: Mamo, jak będę duży, to dostanę wysoki kołnierzyk, nieprawda?

Mama: Tak, synku, czemu się tak pytasz?

Staś: Bo wtedy nie potrzebuję już myć szyi.

NAPRÓŻNO.

— Powiedz mi, dlaczego tak pijesz?

— Aby zalać troski.

— No, i udaje ci się?

— Gdzie tam, zawsze na wierzch wypływają.

W SĄDZIE.

— Podsądny! Jednak jest to dość dziwne, że unosząc ze składu towary, kasę z pieniędzmi pozostawiliście na miejscu.

— Oj, gdyby pan sędzia wiedział, jak mnie z tego powodu przyjęła żona.

JAK MÓWIĄ PO OŻENIENIU?

Matematyk: wziąłem najdroższą połowicę.

Pisarz: skrępowały mnie kajdany hymenu.

Szewc: wlazłem własnowolnie pod pantofel.

Gracz: wpadłem na totusa bez pięciu.

Marynarz: stanąłem na kotwicy.

Doktór: połknąłem pigułkę.

Dorożkarz: we dwie śkapy, brachu, teraz bende jeździć.

DOBRY SOBIE.

— Panie majster, był tu sędzia.

— Który?

— Ten, któremu wczoraj odniosłem nowe trzewiki!

— A cóż chciał?

— Wymyślał strasznie, że ledwie je dziś wdział, już się rozlazły. Chciał pana majstra bić.

— I cóż ty na to?

— A no nic! Powiedziałem mu, że bardzo żałuję, ale pana majstra niema teraz w domu.

PO CO?

— Chodź się przejść trochę, podziwiać naturę...

— Po co? Mam jeszcze spory zapas piwa w domu.